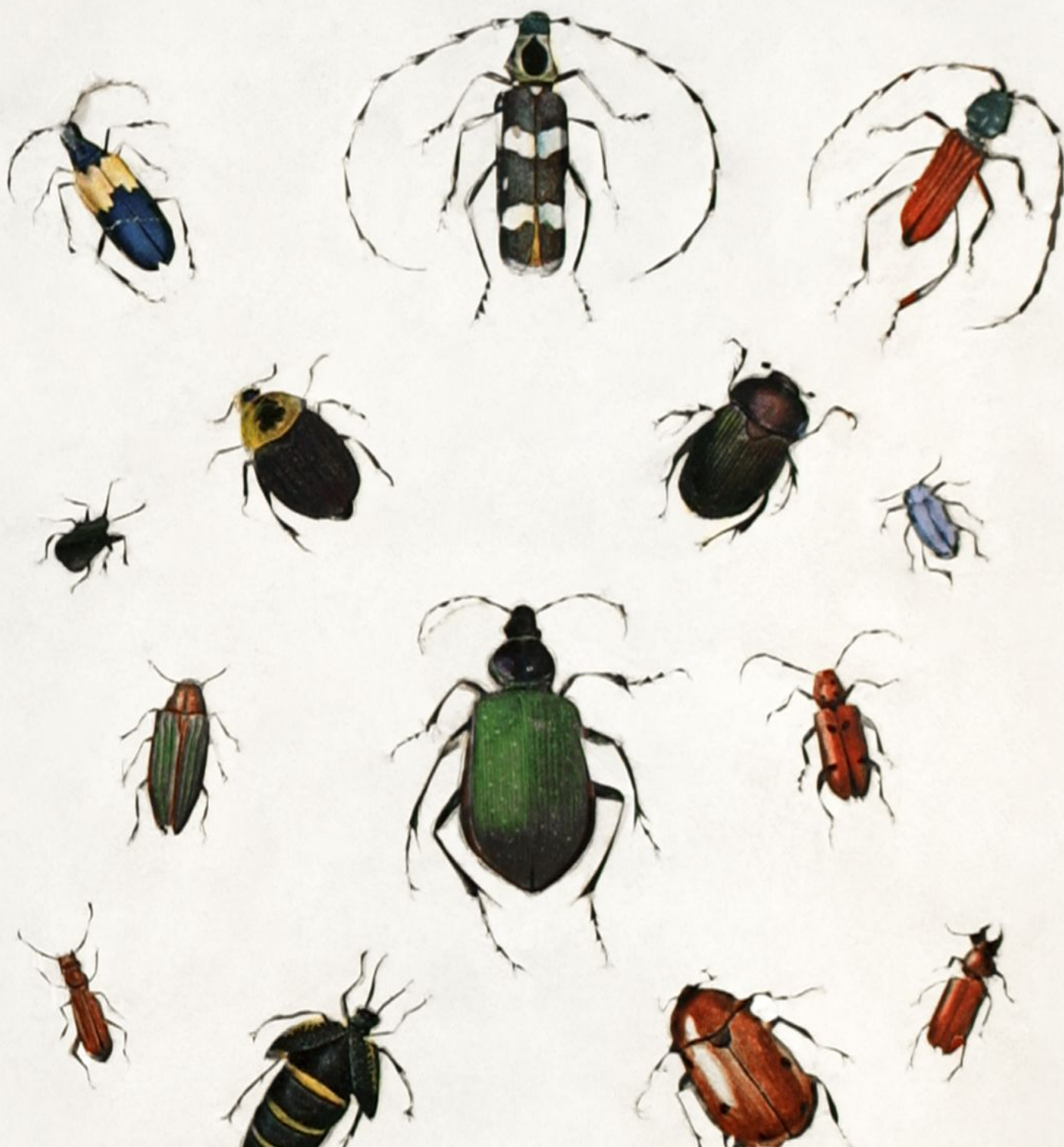


# Skradziony list



EDGAR ALAN POE

## Skradziony list

TŁUM. STANISŁAW WYRZYKOWSKI

Nil sapientiae odiosius acumine nimio.<sup>1</sup>

Seneka

Było to w Paryżu, jesienią 18.. r.

Pewnego burzliwego wieczora, wnet po nastaniu ciemności, zażywałem podwójnej rozkoszy zadumy i fajki piankowej, siedząc w towarzystwie mojego przyjaciela C. A. Dupina w jego niewielkiej biblioteczce, lub raczej zapełnianej książkami pracowni, na trzecim piętrze domu nr 33 przy rue Donot, Faubourg Saint-Germain.

Już od jakiejś godziny zachowywaliśmy głębokie milczenie. Komuś, kto by nas wówczas przypadkowo podpatrzył, mogło się wydawać, że jesteśmy wyłącznie i skrzętnie zajęci kłębiącymi się odmętami dymu, który przesycił atmosferę pokoju. O ile jednak chodziło o mnie, to roztrząsałem w duszy pewne zagadnienia, o których rozmawialiśmy poprzednio owego wieczora. Mam na myśli zbrodnię przy Rue Morgue i tajemnicę zabójstwa Marie Roget<sup>2</sup>. Dopatrywałem się w nich pewnych zbieżności, gdy drzwi się otwarły i wszedł do pokoju dawny nasz znajomy, *monsieur*<sup>3</sup> G., prefekt policji paryskiej.

Powitaliśmy go serdecznie; człowiek ten miał bowiem w swej naturze tyleż właściwości ujmujących, co niegodnych, i nie widzieliśmy go już od kilku lat. Siedzieliśmy po ciemku, więc Dupin podniósł się z miejsca, by zapalić lampę, lecz usiadł znowu, gdy G. odezwał się, iż przyszedł poradzić się nas, a raczej zasięgnąć zdania mojego przyjaciela w pewnej sprawie urzędowej, która sprawia mu mnóstwo kłopotów.

— Jeżeli jest to coś, co wymaga skupienia — powiedział Dupin, powstrzymując się od zapalenia światła — to będzie lepiej zastanowić się po ciemku.

— Jak widzę, uroił pan sobie jeszcze jedną dziwną mrzonkę — rzekł prefekt, dla którego wszystko, co nie mieściło się w jego pojęciu, było „dziwaczne”, więc płątał się przez całe swe życie wśród nieprzebranego mnóstwa „dziwaczności”.

— Istotnie — odparł Dupin, częstując swego gościa fajką i podsuwając mu wygodny fotel.

— A jakież to ma pan kłopot? — zapytałem. — Spodziewam się, iż nie chodzi o nowe zabójstwo?

— Och, nie nic podobnego! Sprawa jest w rzeczywistości nader prosta i nie wątpię, że poradzilibyśmy z nią sobie sami; ale przyszło mi na myśl, że Dupina zaciekałyby jej szczegóły, ponieważ jest ogromnie dziwna.

— Prosta i dziwna — odezwał się Dupin.

— Ależ tak, chociaż, mówiąc ściślej, nie w jednakej mierze. To pewne, iż jesteśmy mocno zakłopotani, ponieważ ta sprawa, aczkolwiek taka prosta, zupełnie zbija nas z tropu.

— A może jej nadzwyczajna prostota wprowadza was w błąd? — zagadnął mój przyjaciel.

<sup>1</sup>*Nil sapientiae odiosius acumine nimio* (łac.) — Nic nie jest bardziej nienawistne mądrości niż nadmierna przebiegłość. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>*Zbrodnia przy Rue Morgue i tajemnica zabójstwa Marie Roget* — opisywane we wcześniejszych nowelach: *Zabójstwo przy Rue Morgue* oraz *Tajemnica Marii Roget*, których głównymi bohaterami są te same osoby: paryski detektyw C. Auguste Dupin i jego przyjaciel, narrator historii; w obu pojawia się ich znajomy prefekt policji, pan G. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>*monsieur* (fr.) — pan. [przypis edytorski]

— Co pan za głupstwa gada! — odparł prefekt, śmiejąc się serdecznie.

— Może tajemnica jest nieco za przejrzysta? — rzekł Dupin.

— Na miłość boską! Czy ktoś słyszał kiedy coś podobnego?

— Może za bardzo leży jak na dłoni?

— Cha, cha, cha!... Cha, cha, cha!... Ho, ho, ho! — rżał nasz gość niezmiernie ubawiony. — Och, Dupin, ja umrę kiedyś przez pana!

— O cóż jednakże w końcu chodzi? — zapytałem.

— Owszem; powiem panom — odpowiedział prefekt i puszczając w zadumie nieustanne i gęste kłęby dymu, zasiadł w fotelu. — Opowiem wszystko w kilku słowach; lecz zanim rozpocznę, uważam za konieczne ostrzec panów, iż jest to sprawa wymagająca najgłębszej tajemnicy i że straciłbym najprawdopodobniej moje stanowisko, gdyby się dowiedziano, że mówiłem o niej komukolwiek.

— Proszę przystąpić do rzeczy — odezwałem się.

— Albo nie — rzekł Dupin.

— Więc będę mówił! Zawiadomiono mnie, i to z bardzo wysokich sfer, iż z pokojów królewskich skradziono nadzwyczaj ważny dokument. Wiadomo, kto skradł; nie ulega to wątpliwości; widziano, jak go zabrał. Wiadomo również, iż dokument ten znajduje się wciąż jeszcze w jego posiadaniu.

— Skądże to wiadomo? — zapytał Dupin.

— Wynika to niezawodnie z treści dokumentu oraz stąd, że nie było pewnych następstw, które musiałyby od razu się objawić, gdyby przestał znajdować się w posiadaniu złodzieja, to znaczy, gdyby został tak użyty, jak tenże w końcu użyć go zamierza.

— Proszę wyrazić się jaśniej — rzekłem.

— Dobrze, posunę się tak daleko, iż dodam, że ten papier użycza osobie, która nim się wykaże, pewnej władzy w pewnym miejscu, gdzie ta władza jest niezmiernie cenna. Prefekt był wielbicielem języka dyplomatycznego.

— Niezupełnie jeszcze rozumiem — przemówił Dupin.

— Nie? A więc, o ile by dokument ten stał się dostępny komuś trzeciemu, którego nazwiska nie wymienię, to mógłby wyniknąć stąd uszczerbek czci dla osoby wysoce dostojnej; skutkiem tej okoliczności przywłaszczyciel tego dokumentu ma przewagę nad ową dostojną osobą, której spokój i cześć są wielce narażone.

— Wszelako ta przewaga — przerwałem — zależy od tego, czy złodziej wie, iż jako sprawca tej kradzieży jest znany osobie okradzionej. Któż by śmiał...

— Złodziejem — odparł prefekt — jest minister D., który odważa się na wszystko, na rzeczy godne i niegodne mężczyzny. Sposób kradzieży był nie mniej pomysłowy jak zuchwały. Dokument ów — powiedzmy otwarcie, list — osoba okradziona otrzymała, kiedy znajdowała się sama znajdowała się sama w buduarze królewskim. Zajęta była właśnie czytaniem tego listu, gdy przeszkodziło jej nagle wejście innej dostojnej osoby, przed którą przede wszystkim pragnęła go ukryć. Na próżno starała się pospiesznie wrzucić go do szuflady i musiała w końcu położyć go na stole tak, jak był otwarty. Wszelako odwróciła go adresem do góry, treść zatem nie była widoczna i nie zwróciła uwagi. Kiedy to się działo, wszedł minister D. Jego rysy oczy natychmiast dostrzegły ten papier; poznał pismo na adresie, zauważył zmieszanie osoby, do której list był pisany, i przeniknął jej tajemnicę. Załatwiwszy na łeb, na szyję, jak to zwykł czynić, kilka spraw, wyjął jakiś list, nieco podobny do leżącego na stole, otworzył go, udał, że czyta i położył tuż obok poprzedniego. Po czym znów rozmawiał przez jakieś piętnaście minut o sprawach publicznych. W końcu pożegnał się i wziął ze stołu list, który do niego nie należał. Widziała to osoba poszkodowana, ale nie śmiała powiedzieć o tym, co się stało, w obecności osoby trzeciej, stojącej u jej boku. Minister wyszedł, pozostawiając na stole swój list, pisany w jakiejś błahej sprawie.

— Masz zatem — rzekł Dupin do mnie — właśnie to, o co ci chodziło, by przewaga była zupełna, mianowicie złodziej wie, iż jako sprawca tej kradzieży jest znany osobie okradzionej.

— Tak jest — potwierdził prefekt — zaś władzę w ten sposób zdobytą wyzyskuje od kilku miesięcy dla swych celów politycznych w rozmiarach wprost niebezpiecznych. Osoba poszkodowana z dnia na dzień utwierdza się w przekonaniu, iż trzeba będzie od-

zyskać ten list. Oczywiście nie można zrobić tego jawnie. W końcu, doprowadzona do rozpacz, zwróciła się w tej sprawie do mnie.

— Bo czyż można było — rzekł Dupin, nurzając się w istnym obłoku dymu — wyszukać lub bodaj wyobrazić sobie urzędnika równie roztropnego?

— Pochlebia mi pan — odpowiedział prefekt — wszelako jest rzeczą możliwą, iż istotnie utarła się o mnie taka opinia.

— To pewne — powiedziałem — iż spostrzeżenie pańskie jest słuszne i że list ten znajduje się jeszcze w posiadaniu ministra, bowiem posiadanie tego listu, nie zaś jego użycie, zapewnia władzę. Gdyby go zużytkował, władza by pierzchła.

— Istotnie — odparł G. — i w tym przeświadczeniu przystąpiłem do rzeczy. Zająłem się przede wszystkim przeszukaniem pałacu ministra, zaś kłopot sprawiała mi głównie konieczność szukania bez jego wiedzy. Poza tym musiałem mieć się na baczności przed niebezpieczeństwem, jakie by wynikło, gdyby dostarczyło mu się powodu do podejrzenia naszych zamiarów.

— Ale — napomknąłem — w tej dziedzinie jest pan jak u siebie w domu! Policja paryska niejednokrotnie już czyniła takie poszukiwania.

— Właśnie, i dlatego nie zwątpiłem. Przy tym nawyknięcia ministra wielce ułatwiają mi zadanie. Często nie bywa w domu całymi nocami. Służbę ma niezbyt liczną. Sypia ona dość daleko od pokojów swego pana i składa się głównie z neapolitańczyków, których łatwo spoić. Wiecie panowie zapewne, iż mam klucze, którymi można otworzyć wszystkie pokoje i skrytki w całym Paryżu. Od trzech tygodni nie było ani jednej nocy, żebym osobiście nie szperał w pałacu D. Narażony jest mój honor, a przy tym — wyznam panom w wielkiej tajemnicy — nagroda jest olbrzymia. Toteż nie ustawałem w poszukiwaniach, aż przekonałem się niezawodnie, iż złodziej jest przebieglejszy ode mnie. Mniemam, iż przetrząsnąłem w całym domu wszystkie kąty i zakamarki, w których można ukryć papier.

— Czy wszakże nie byłoby rzeczą możliwą — zauważyłem — żeby ten list, acz znajdujący się niewątpliwie w posiadaniu ministra, był jednakże schowany gdzie indziej niż w jego własnym mieszkaniu?

— Nie, to niemożliwe! — odezwał się Dupin. — Szczególniejszy obecnie stan spraw dworskich, przede wszystkim zaś intryg, w które D., jak wiadomo, jest wplątany, sprawia, iż natychmiastowe zużytkowanie tego dokumentu, możność okazania go każdej chwili jest niemal równie ważna jak samo posiadanie.

— Możliwość okazania go każdej chwili? — zagadnąłem.

— Aby można go zniszczyć, gdy zajdzie potrzeba — dopowiedział Dupin.

— To prawda — rzekłem — papier znajduje się zatem niewątpliwie w mieszkaniu. Bo żeby minister przechowywał go przy sobie, o tym chyba nie może być mowy.

— Istotnie — odezwał się prefekt — dwukrotnie był zatrzymywany, niby to przez rzezimieszków, przy czym przetrząsnięto dokładnie całą jego odzież pod moim osobistym nadzorem.

— Mógł pan sobie oszczędzić tego kłopotu — powiedział Dupin. — D. jak sądzę, jeszcze nie całkiem ma bzika, przewidział zatem te napaści, jako rzecz nieuniknioną.

— Jeszcze nie całkiem ma bzika — powtórzył G. — ale jako poeta niedaleko jest od niego.

— Zapewne — odparł Dupin, puszczając po długim namyśle kłąb dymu z fajki — aczkolwiek ja także mam na sumieniu jakieś tam wierszydła.

— Czy mógłby pan nam opowiedzieć szczegółowo o swych poszukiwaniach? — spytałem.

— Mogę zaręczyć, że nie marnowaliśmy czasu i szukaliśmy wszędzie. Nabrałem dużo doświadczenia w tych sprawach. Przetrzęsaliśmy budynek pokój po pokoju, poświęcając na każdy wszystkie noce całego tygodnia. Zbadaliśmy najpierw meble. Pootwieraliśmy wszystkie możliwe szuflady, a zapewne wiecie panowie, iż dla dobrze wyćwiczonego agenta policyjnego skrytki nie istnieją. Byłby kpem<sup>4</sup>, gdyby przy podobnych szperaniach jaka „skrytka” uszła jego uwagi. To rzecz taka prosta! W każdym pokoju ma się do obliczenia pewną ilość brył — przestrzeni. Są na to dokładne prawidła. Nie można się omylić ani

---

<sup>4</sup>kiep (daw.) — człowiek głupi, nierozgarnięty. [przypis edytorski]

o włos. Po pokojach przyszła kolei na krzesła. Poduszki przeszukaliśmy za pomocą cienkich, długich igieł. Pokazywałem już panom, jak to się robi. Ze stołów zdejmowaliśmy wierzchy.

— Po co?

— Zdarza się, iż ludzie chcący coś ukryć zdejmują wierzch stołu lub podobnie sporządzonego mebla, po czym wydrążają nogę, chowają ów przedmiot w wydrążeniu i przytwierdzają wierzch z powrotem. W podobny sposób przeszukuje się również od góry i dołu nogi u łóżek.

— A czy nie można znaleźć takiego wydrążenia za pomocą opukiwania? — zapytałem.

— Bynajmniej, jeżeli ktoś, wkładając przedmiot, owinie go grubo watą. Przy tym musieliśmy unikać wszelkiego hałasu.

— Przecież nie mogliście rozbierać — nie mogliście rozkładać na kawałki wszystkich mebli, które nadawałyby się do urządzenia schowku w sposób przez pana wspomniany! List można zwinąć w cienką spiralną rurkę, nieróżniącą się kształtem ni rozmiarem od wielkiej igły do dziergania i umieścić na przykład w poręczy krzesła. Czyście rozbierali wszystkie krzesła?

— Oczywiście, że nie, lecz poradziliśmy sobie inaczej: zbadaliśmy poręcze wszystkich krzesel w pałacu oraz spojenia wszystkich mebli za pomocą silnych szkieł powiększających. Wszelkie ślady jakichkolwiek zmian bylibyśmy dostrzegli niezawodnie. Jedna drobna trocinka, pozostała po użyciu świderka, byłaby przybrała<sup>5</sup> rozmiary jabłka. Dość było najmniejszej niedokładności w sklejeniu, jakiegokolwiek nieszczelności w spojeniu, a bylibyśmy zaraz odnaleźli skrytkę.

— Przypuszczam, iż obejrzeliście lustra, zwłaszcza w tych miejscach, gdzie zachodzą za ramy, że przeszukaliście łóżka, kapy, jako też portiery i dywany.

— Oczywiście, kiedy zaś przejrzeliliśmy najdokładniej całe urządzenie mieszkania, przystąpiliśmy do zbadania samego domu. Podzieliliśmy całą powierzchnię na odcinki i oznaczyliśmy je liczbami, aby żadnego nie pominąć, po czym badaliśmy kolejno za pomocą szkieł powiększających każdy cal kwadratowy pałacu oraz obu domów przyległych.

— Obu domów przyległych? — zawołałem. — Ależ to było połączone z ogromnym trudem!

— Zapewne, lecz nagroda, którą mi obiecano, jest także ogromna.

— A nie pominęliście ziemi dokoła domów?

— Wszystkie ich podwórza są wybrukowane ceglami. Nie mieliśmy z nimi zbyt wiele kłopotu. Zbadaliśmy mech między ceglami i przekonaliśmy się, że był nietknięty.

— Przejrzelście oczywiście papiery ministra i książki w bibliotece?

— Tak jest, przeglądaliśmy wszystkie zwitki i pliki; otwieraliśmy wszystkie książki i odwracaliśmy kartkę po kartce w każdym tomie, nie zadowolając się bynajmniej samym tylko potrząśnięciem, jak to czynią niektórzy oficerowie naszej policji. Mierzyliśmy również najdokładniej grubość każdej okładki i poddawaliśmy je nieubłaganemu badaniu szkieł powiększających. Gdyby w którejkolwiek okładce umieszczono jakiś przedmiot, to nie byłby on na pewno uszedł naszej uwagi. Pięć czy sześć tomów, które co tylko wyszły z pracowni intrologatorskiej, przeszukaliśmy na wzdłuż iglicami.

— Czy badaliście posadzki pod kobiercami?

— Niewątpliwie. Zdejmowaliśmy wszystkie dywany i oglądaliśmy deski przez szkła powiększające.

— A tapety na ścianach?

— Tak jest.

— Zajrzeliście do piwnic?

— Oczywiście.

— Zatem — rzekłem — jest pan na błędnym tropie; tego listu nie ma w pałacu, jak panu się zdaje.

— Obawiam się, że pan ma słuszność — odparł prefekt. — Cóż teraz robić, panie Dupin?

— Przeszukać jeszcze raz cały pałac.

<sup>5</sup>byłaby przybrała — przykład użycia czasu zaprzeczonego, wyrażającego czynność wcześniejszą niż opisana czasem przeszłym lub, jak w tym przypadku, niezrealizowaną możliwość. [przypis edytorski]

— Ależ to jest najzupełniej bezcelowe! — zawołał. — Ręczę własną głową, że tego listu nie ma w pałacu.

— Nie mogę dać panu lepszej rady — rzekł Dupin. — Zapewne pan ma dokładny opis tego listu?

— O tak!

I wyjąwszy notatnik z kieszeni, prefekt jął czytać głośno szczegółowy opis wewnętrznego, a przede wszystkim zewnętrznego wyglądu zaginionego dokumentu. Przeczytawszy ten opis, pożegnał się wkrótce i odszedł z takim wyrazem przygnębienia, jakiego przedtem nie zdarzało mi się u niego widzieć.

W jakiś miesiąc później odwiedził nas powtórnie i zastał mniej więcej przy tych samych zajęciach. Przyjął podaną fajkę i usiadłszy na fotelu, jął gawędzić o rzeczach potocznych.

W końcu zagadnąłem:

— No, a cóż słyhać o skradzionym liście? Sądzę, iż w końcu pogodził się pan z myślą, że to niełatwa rzecz podolać ministrowi.

— Bodaj go licho wzięło! Wszelako zrobiłem, co radził Dupin, i przetrząsałem wszystko raz jeszcze, ale cała praca poszła na marne, jak to zresztą przewidywałem z góry.

— Ile to wynosi naznaczona nagroda? Pan coś mówił... — rzekł Dupin.

— No... jest duża, bardzo hojna, ale nie mogę dokładnie powiedzieć... To tylko powiem, że gotów byłbym dać czek na pięćdziesiąt tysięcy franków człowiekowi, który by mi postarał się o ten list. Z dnia na dzień nabiera on coraz większego znaczenia. Nagrodę w ostatnich czasach podwojono. Lecz gdyby ją nawet potrojono, nie mógłbym nic więcej zrobić, niż zrobiłem.

— Czemu by nie? — mówił Dupin, przeciągle pykając swą piankową fajkę. — Naprawdę, mnie się zdaje, że pan się nie wyteżył, nie dotarł do dna tej sprawy. Mógł pan zrobić nieco więcej. Tak mi się zdaje, nie?

— Co? W jaki sposób?

— Ależ — puf, puf — mógłby pan — puf, puf — zasięgnąć rady, he?... — puf, puf, puf. — Pamięta pan anegdotkę o Abernethym<sup>6</sup>?

— Nie, do diabła z Abernethym!

— Nic nie mam przeciw temu! Niechaj będzie do diabła, jeśli pan tak chce. Otóż zdarzyło się raz, że pewien bogaty skąpiec powziął zamiar wykpienia od tegoż Abernethy'ego porady lekarskiej. By cel ten osiągnąć, zawiązał z nim w przygodnym towarzystwie rozmowę, w której opowiedział mu o swych własnych niedomaganiach, mówiąc niby to o jakimś zmyślonym chorym.

„Przypuśćmy — mówił skąpiec — że objawy są takie a takie. Cóż by pan przepisał, panie doktorze?”

„Co? — odparł Abernethy. — Poradziłbym mu, oczywiście, aby się poradził”.

— Ależ — odezwał się prefekt, nieco zmieszany — jestem najzupełniej gotów zasięgnąć porady i za nią zapłacić. Ofiarowałbym naprawdę pięćdziesiąt tysięcy franków osobie, która by mi dopomogła w tej sprawie.

— W takim razie — odparł Dupin, otwierając szufladę i wyjmując z niej książeczkę czekową — niechże pan wypełni mi czek na tę sumę. Skoro pan go podpisze, wręczone panu list.

Oślupiałem.

Prefekt był po prostu spiorunowany. Na chwilę znieruchomiał i oniemiał. Rozchyliwszy usta, spoglądał niedowierzająco na mojego przyjaciela, a oczy jego zdawały się występować ze swej osady. Po czym, odzyskawszy w niejkiej mierze panowanie nad sobą, uchwycił pióro, zawahał się, spojrział kilka razy czczym wzrokiem, lecz w końcu wypełnił i podpisał czek na pięćdziesiąt tysięcy franków. Dokonawszy tej formalności, podał go przez stół Dupinowi.

Ten przejrzał go uważnie i włożył do swego portfela. Następnie otworzył sekretarzyk, wyjął stamtąd list i wręczył go prefektowi.

<sup>6</sup>*Abernethy* — znakomity lekarz angielski, słynny ze swej ekscentryczności. [John Abernethy (1764–1831); red. WL]. [przypis tłumacza]

Urzędnik uchwycił go, nieprzytomny z radości, rozłożył drżącymi rękami, powiódł oczyma po jego treści, rzucił się z rozmachem ku drzwiom i wybiegł bez ceremonii z pokojem, nie rzekłszy ani słowa od chwili, kiedy Dupin zagadnął go o podpisanie czeku.

Po jego odejściu przyjaciel mój jął wyluszczać przebieg sprawy.

— Policja paryska — mówił — jest nadzwyczaj biegła w swym zawodzie. Urzędnicy jej są wytrwali, pomysłowi, chytry i doskonale obeznani z tymi gałęziami wiedzy, które należą do zakresu ich obowiązków. Toteż gdy G. opowiedział nam, w jaki sposób przetrząsano pałac D., byłem najzupełniej przeświadczony, że poszukiwania odbyły się należycie w tej mierze, na jaką było go stać.

— W tej mierze, na jaką było go stać? — zagadnąłem.

— Tak jest — odparł Dupin — poczynione zarządzenia były nie tylko najlepsze w swym rodzaju, lecz także doprowadzone do ostatecznej doskonałości. Gdyby list ów znajdował się w zasięgu ich poszukiwań, to byłiby go niewątpliwie znaleźli.

Uśmiechnąłem się tylko, aczkolwiek zdawał się mówić to najzupełniej poważnie.

— Zarządzenia zatem — mówił dalej — były dobre w swym rodzaju i dobrze wykonane; wadliwość ich polegała na tym, iż nie dawały się zastosować ani do człowieka, ani do wypadku, o który chodziło. Pewien zestrój nadzwyczaj pomysłowych środków stanowi dla prefekta rodzaj łoża Prokrusta<sup>7</sup>, w które wtłacza przemocą swe zamierzenia. Wszelako myli się nieustannie, gdyż jest albo za głęboki, albo za płytki dla sprawy, którą się zajmuje, i wielu uczniów rozumuje lepiej od niego. Znałem pewnego ośmioletniego chłopca, którego powodzenia w odgadywaniu przy grze „para, nie para” wywoływały powszechny podziw. Gra ta jest łatwa, używa się do niej krągłych kamyczków. Jeden z graczy trzyma w garści pewną ilość tych kamyczków i zapytuje drugiego, czy liczba ich jest parzysta, czy nieparzysta. Jeżeli zgadujący odpowie trafnie, to zyskuje jeden kamyczek, jeżeli zaś się pomyli, to jeden traci. Chłopczyk, o którym nadmieniałem, wygrał wszystkie kamyczki w całej szkole. Odgadywał on wedle pewnej zasady, która polegała tylko na spostrzegawczości i na przystosowaniu się do bystrości swych przeciwników. Kiedy, na przykład, przeciwnik jego był skończonym głuptasem i podniósłszy zaciśniętą rękę, pytał: „Para czy nie para?”, dzieciak odpowiadał: „Nie para” i przegrywał. Wszelako za następnym razem już wygrywał, gdyż powiadał sobie w duszy: „Głuptas, przy pierwszej kolejce wziął w rękę parzystą ilość kamyczków, ale jego przebiegłość sięga zaledwie tak daleko, iż za drugą kolejką weźmie nieparzystą, powiem zatem: nie para”; mówił tak i wygrywał. Natomiast mając do czynienia z przeciwnikiem nie tak ograniczonym, rozumował w ten sposób: „Ten chłopiec wie, iż za pierwszym razem powiedziałem »nie para«, kiedy więc kolej przyjdzie na drugi, zaświta mu w pierwszej chwili myśl najprostszej odmiany, mianowicie, by po parze wziąć nie parę, jak to uczynił pierwszy głuptas; wszelako później pomyśli sobie, że ta odmiana zbyt jest prosta, i ostatecznie weźmie ilość parzystą, jak poprzednio. Będę zatem zgadywał: para”. Powiada: „para” i wygrywa. Otóż ten sposób rozumowania, który koledzy uczniaka nazywali „szczęściem” — czymże jest, gdy go wyluskaliśmy do ostatka?

— Jest to po prostu — rzekłem — identyfikowanie się umysłu rozumującego ze swym przeciwnikiem.

— Istotnie — odparł Dupin — kiedy zaś zapytałem tego chłopca, w jaki sposób osiąga tę zupełną identyfikację, która stanowi o jego powodzeniu, odpowiedział: „Gdy chcę wiedzieć, w jakim stopniu jest ktoś mądry czy głupi, dobry lub zły, i co myśli w danej chwili, staram się możliwie najdokładniej uzgodnić wyraz mojej twarzy z wyrazem jego twarzy, a następnie śledzę, jakie myśli i uczucia rozbudzą się w mym mózgu i mym sercu i niejako uzgodnią się i upodobnią do wyrazu przeze mnie przybranego”. Ta odpowiedź

<sup>7</sup>Prokrusta łożo (mit. gr.) — o sytuacji, w której coś jest gwałtem naginane, dostosowywane do sztywnego schematu; nawiązanie do tortur, jakie stosował zbój Prokrustes, który pojmane ofiary kładł na żelaznym łożu i na siłę dopasowywał do jego długości, obcinając im nogi lub rozciągając ciało. [przypis edytorski]



dziecka sięga dużo głębiej niż kłamane głębie, przypisywane La Rochefoucauldowi, La Bruyère'owi, Machiavellemu<sup>8</sup> i Campanelli<sup>9</sup>.

— Zaś ta identyfikacja umysłu rozumującego ze swym przeciwnikiem zależy, o ile dobrze cię pojmuję, od ścisłości, z jaką ocenia się intelekt tegoż przeciwnika.

— Praktyczne jej znaczenie zależy od tego warunku — odpowiedział Dupin. — Prefekt i jego podwładni myślą się tak często dlatego, iż: po pierwsze, nie są zdolni do owej identyfikacji, po wtóre, że przystosowują się niewłaściwie, lub raczej nie przystosowują się wcale do intelektu, z którym mają do czynienia. Mają na oku tylko swe własne przebiegłe pomysły i kiedy szukają czegoś ukrytego, myślą tylko o tym, w jaki sposób oni by je ukryli. Mają słusność o tyle, że ich pomysłowość jest wiernym obrazem pomysłowości tłumu; kiedy jednak chytrłość występnej jednostki różni się swymi właściwościami od ich chytrości, złoczyńca bierze nad nimi górę. Zdarza się to zawsze, gdy przewyższa ich przebiegłością, i nader często, gdy im w niej nie dorównywa. Nie umieją zmieniać zasad, na których opierają swe dochodzenia śledcze; w najlepszym razie, kiedy przynagli ich jakaś ostateczna konieczność, jakaś niezwyczajna nagroda, przeholowują do przesady swe dawne sposoby praktyczne, nie tykając przy tym swych zasad. Co na przykład uczyniono, kiedy chodziło o sprawę ministra D., by zastosować zmienione zasady działania? Czymże jest to wiercenie, przetrząsanie, sondowanie, badanie za pomocą szkieł powiększających, rozkładanie powierzchni budynku na ponumerowane cale kwadratowe — czymże jest to wszystko, jeśli nie przesadą w zastosowaniu jednej zasady, czy też całej więzi zasad śledczych opartych na jednym skojarzeniu pojęć o pomysłowości ludzkiej, do którego prefekt nawykł w długoletniej rutynie służbowej? Czyś nie zauważył, iż dla niego jest rzeczą dowiedzioną, jakoby wszyscy ludzie, którzy chcą ukryć jakiś list, posługiwali się, jeśli niekoniecznie otworem wywierconym w nodze od krzesła, to przynajmniej jakimś otworem czy kryjówką nadzwyczaj osobliwą, a podsuniętą przez to samo skojarzenie myśli, które zniewala do chowania listów w otworach wywierconych w nodze od krzesła? I czy nie zdajesz sobie sprawy, że takie wyszukane skrytki bywają używane w pospolitych okolicznościach i przez umysły pospolite, gdyż ilekroć chodzi o jakąś rzecz ukrytą, wszelki wyszukany sposób jej ukrycia od razu daje się odgadnąć i bywa też zawsze odgadwany; toteż znalezienie jej bynajmniej nie zależy od przenikliwości, lecz tylko od pilności, cierpliwości i stanowczości szukającego. Kiedy jednak chodzi o rzecz ważną lub o coś, co w oczach policji ma to samo znaczenie, mianowicie o szczerą nagrodę, wszystkie te zalety na pewno zawodzą. Sądzę, iż zrozumiesz teraz, co miałem na myśli, powiadając, iż gdyby skradziony list był ukryty w zasięgu poszukiwań prefekta — czyli wyrażając się innymi słowy — gdyby zasada jego ukrycia mieściła się w zasadach prefekta, to znalezienie go nie podlegałoby bynajmniej wątpliwości. Tymczasem urzędnik ten dał się najzupełniej zbić z tropu, a pierwotnej przyczyny jego porażki należy szukać w przeświadczeniu, że minister ma bzika, ponieważ dał się poznać jako poeta. Wszystkie półgłówki są poetami wedle mniemania prefekta i cała jego pomyłka polega na *non distributio medii*<sup>10</sup>, na wysnutym stąd wniosku, iż wszyscy poeci są półgłówkami.

— Jestże on naprawdę poetą? — spytałem. — O ile wiem, ma brata, który również zasłynął na polu literackim. Minister podobno znany jest z cennej pracy o rachunku różniczkowym<sup>11</sup>. Jest zatem matematykiem, a nie poetą.

— Mylisz się, znam go dobrze; jest jednym i drugim. Jako poeta i matematyk nawykł do ścisłego rozumowania. Gdyby był tylko matematykiem, nie rozumowałby wcale i byłby zdany na łaskę prefekta.

<sup>8</sup>La Rochefoucauld, La Bruyère, Machiavelli — François de La Rochefoucauld (1613–1680): francuski pisarz, moralista, autor rozważań na temat natury ludzkiej; Jean de La Bruyère (1645–1696): francuski pisarz, moralista i psycholog; Niccolò Machiavelli (1469–1527): florencki historyk, dyplomata i teoretyk polityki, najbardziej znany z traktatu o skutecznym sprawowaniu władzy. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>Campanella, Tommaso (1568–1639) — włoski filozof i myśliciel, wielokrotnie oskarżany o herezję i więziony; według jednej z anegdot w celu wniknięcia w cudze myśli i uczucia używał takiej samej techniki jak chłopiec, o którym opowiada Dupin; Poe znał tę anegdotę z popularnego traktatu Edmunda Burke'a. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*non distributio medii* (łac.) — niedzielenie środka; nazwa błędu logicznego nadmiernej generalizacji. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*rachunek różniczkowy* — dział analizy matematycznej zajmujący się badaniem różniczek (nieskończenie małych zmian danej zmiennej) oraz pochodnymi funkcji (opisującymi tempo zmian wartości funkcji), jedno z podstawowych narzędzi matematycznych fizyki i techniki. [przypis edytorski]



— Zadziwiasz mnie — rzekłem — tymi poglądami, które pozostają w sprzeczności z powszechnie przyjętą opinią. Sądzę, iż nie zamierzasz unicestwić przeświadczeń ustalonych przez wieki. Rozum matematyczny uchodzi od dawna za rozum *par excellence*<sup>12</sup>.

— *Il y a à parièr* — odparł Dupin, cytując Chamforta<sup>13</sup> — *que toute idée publique, toute convention reçue est une sottise, car elle a convenue au plus grand nombre*<sup>14</sup>. Zgadzałem się z tobą, że matematycy przyczynili się wielce do rozpowszechnienia utartego błędu, o którym mówisz, a który mimo to jest błędem uważanym za prawdę. Z artyzmem godnym lepszej sprawy przyzwyczaili nas, na przykład, do używania słowa „analiza” w zastosowaniu do algebry<sup>15</sup>. Francuzi pierwsi dali początek temu pomieszaniu pojęć, a jednak jeżeli słownictwo ma jakiegokolwiek znaczenie, jeżeli słowa wyprowadzają swą wartość z zastosowania, to „analiza” odpowiada „algebrze” mniej więcej w tej samej mierze, co łacińskie słowo *ambitus* — ambicji, *religio* religii lub *homines honesti* zespołowi ludzi szanowanych.

— Coś mi się zdaje, że będziesz miał zatarg z niejednym algebraikiem paryskim, ale mów dalej.

— Podaję w wątpliwość znaczenie, a wraz z nim wartość rozumu kształconego w jakiś inny wyłączny sposób niż abstrakcyjno-logiczny. W szczególności zaś podaję w wątpliwość rozum wykształcony na studiach matematycznych. Wiedza matematyczna jest nauką formy i wielości. Wielki błąd tkwi w mniemaniu, jakoby pewniki algebry, tak zwanej czystej, były pewnikami abstrakcyjnymi czy powszechnymi. Zaś błąd ten jest tak ogromny, iż słupię nad jednomyślnością, z jaką go przyjęto. Pewniki matematyczne nie są pewnikami prawdy powszechnej. Co jest prawdą względności — formy i wielości — to bywa często grubym błędem, na przykład w dziedzinie nauk moralnych. W dziedzinie tej zazwyczaj jest nieprawdą, iż części składowe równają się całości. W chemii pewnik ten również zawodzi. Nie dopisuje także, gdy chodzi o czynniki ruchowe, jeżeli bowiem dwa czynniki ruchowe, których siły są znaczne, połączymy razem, to otrzymana w ten sposób siła wypadkowa niekoniecznie musi się równać sumie sił składowych. Jest jeszcze wiele innych prawd matematycznych, które są prawdziwe tylko w granicach względności. Atoli matematyk wnioskuje naukowo wedle swych prawd ograniczonych, jak gdyby miały one zastosowanie absolutne i nieograniczone — co zresztą powszechnie im się przyznaje. Bryant<sup>16</sup> w swej nader cenionej *Mitologii* wspomina o podobnym źródle błędu, mówiąc, iż „jakkolwiek nikt nie wierzy w baśnie pogańskie, to jednak zapomina się o tym nieustannie i wyprowadza się z nich wnioski, jak gdyby z istniejących rzeczywistości”. Jakoś algebraicy, którzy sami są poganami, wierzą w „baśnie pogańskie” i wyprowadzają z nich wnioski, nie tyle dlatego, że im pamięć nie dopisuje, ile z powodu niepojętej zaśniedziałości mózgow. Słowem, nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać czystego matematyka, na którym można by polegać poza jego równaniami i pierwiastkami lub który by nie uznawał potajemnie za dogmat swej wiary, iż  $x^2 + px$  równa się bezwarunkowo i absolutnie  $q$ . Spróbuj powiedzieć któremuś z tych panów, jeżeli cię to bawi, iż zdaniem twym mogą zajść okoliczności, kiedy  $x^2 + px$  niekoniecznie równać się będzie  $q$ , jednak powiedziawszy, co masz na myśli, usuń mu się co rychlej i najuprzejmiej spod ręki, gdyż na pewno będzie chciał cię grzmotnąć.

— Chcę przez to powiedzieć — mówił dalej Dupin, któremu przerwałem na chwilę, śmiejąc się z tych jego spostrzeżeń — iż gdyby minister był tylko matematykiem, to prefekt nie byłby musiał wręczyć mi tego czeku. Wiem jednakże, iż jest matematykiem i zarazem poetą, więc przystosowałem swe postępowanie do jego uzdolnienia, uwzględniając przy tym okoliczności, w jakich się znajdował. Wiem również, iż jest dworakiem

<sup>12</sup>*par excellence* (fr.) — w całym tego słowa znaczeniu; w najwyższym stopniu. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*Chamfort, Sébastien-Roch de* (1741–1794) — francuski literat epoki Oświecenia, autor licznych maksym i złotych myśli. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>*Il y a à parièr, que toute idée publique, toute convention reçue est une sottise, car elle a convenue au plus grand nombre* (fr.) — Można założyć się, że każda myśl ogólnie przyjęta, każdy uznany pogląd jest głupstwem, ponieważ odpowiada większości. [przypis tłumacza]

<sup>15</sup>*przyzwyczaili nas [matematycy] do używania słowa „analiza” w zastosowaniu do algebry* — analiza i algebra to w matematyce nowoczesnej dwa zupełnie różne działy: analiza matematyczna zajmuje się granicami, sumami szeregów, rachunkiem różniczkowym i całkowym, podczas gdy algebra (z ar. *al-dżabr*) początkowo była teorią rozwiązywania równań liczbowych i ich układów, a następnie stała się szeroką dziedziną matematyki, traktującą o obiektach bardziej abstrakcyjnych niż liczby i różnych działaniach na nich. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*Bryant, Jacob* (1715–1804) — brytyjski pisarz, mitograf i znawca starożytności. [przypis edytorski]

i zuchwałym intrygantem. Niepodobna, żeby taki człowiek — pomyślałem sobie — nie znał zwyczajnych policyjnych metod działania. Zapewne przewidział — a wypadki późniejsze potwierdziły, iż przewidział istotnie — przygotowane dla niego zasadzki. Musiał się liczyć — rozumowałem — z tajemnymi poszukiwaniami w swym pałacu. Nie bywał często nocami w domu, co prefekt powitał jako niezawodną zapowiedź swego powodzenia, ja zaś uważałem tylko za podstęp zmierzający do tego, by ułatwić policji szczegółowe szperanie i tym rychlej wpaść w nią przeświadczenie, do którego G. istotnie doszedł, iż listu w pałacu nie ma. Wyczułem również, iż cały ten tok myśli, o których ci tylko co nadmieniałem, a które odnoszą się do nieodmiennych zasad czynności policyjnych przy poszukiwaniu ukrytych przedmiotów — wyczułem, powtarzam, iż cały ten tok myśli przemknął niezawodnie przez umysł ministra. Musiało go to stanowczo skłonić do wyrzeczenia się wszelkich kryjówek zwyczajnych. Niepodobna — rozumowałem — żeby był tak słaby i nie wiedział, iż najnieodstępniejsze i najtajemniejsze skrytki jego pałacu będą równie jawne, jak najpospolitsze schowki dla oczu, iglic, świdrów i szkieł powiększających prefekta. W końcu uświadomiłem sobie, że nieodzownie będzie musiał dążyć do prostoty, jeżeli nie rozmyślnie, to z wrodzonego upodobania. Może jeszcze pamiętasz, jak do rozpuku śmiał się prefekt, kiedy za jego pierwszą bytnością wyraziłem się, że owa zagadka może dlatego jest tak bardzo kłopotliwa, że zanadto leży jak na dłoni.

— Tak jest — odparłem — przypominam sobie, jaką miał uciechę. Myślałem już, że dostanie drgawek.

— Świat materialny — wyluszczał dalej Dupin — pełen jest nader ścisłych analogii ze światem niematerialnym i stąd to pochodzi, iż niejaki zabarwienie prawdy posiada ów dogmat retoryczny, który utrzymuje, iż przenośnia czy porównanie nadają się równie dobrze do poparcia jakiegoś argumentu, jak do upiększenia jakiegoś opisu. Zasada tak zwanej *vis inertiae*<sup>17</sup> jest na przykład, jak się zdaje, jednakowa w dziedzinie fizycznej i metafizycznej. Niemniej jest ona prawdziwa, kiedy utrzymuje, iż ciało większe trudniej jest puścić w ruch niż ciało mniejsze i że wynika stąd *momentum*<sup>18</sup> jest wprostmiernie z ową trudnością, jak kiedy twierdzi, iż umysły o rozleglejszej zdolności pojmowania, ponieważ są zarazem możniejsze, krzepsze<sup>19</sup> i bardziej nieobliczalne w swych poruszeniach niż umysły niższego rzędu, trudniej też dają się wprawić w ruch oraz ulegają większym wahaniom i nieomogom w pierwszych początkach swego postępu. Albo też: czyś kiedyś zastanawiał się, jakie godła sklepowe najczęściej zwracają uwagę?

— Nie przyszło mi to nigdy na myśl — odparłem.

— Istnieje gra polegająca na odgadywaniu, do której używa się mapy. Jeden z graczy domaga się od drugiego, by odnalazł jakieś słowo — nazwę miasta, rzeki, kraju lub państwa — na pstrzy i pogmatwanej płaszczyźnie mapy. Ktoś, kto jeszcze nie umie grać, na ogół stara się wprowadzić w zakłopotanie swych przeciwników, zadając im do odgadnięcia nazwy uwidocznione najdrobniejszym drukiem, natomiast gracz doświadczony wybiera słowa rozwleczone, nakreślone wielkimi literami od jednego krańca mapy do drugiego. Uchodzą one uwagi, podobnie jak godła i plakaty uliczne wypisane nadmiernie wielkimi głoskami, gdyż są zanadto widoczne. Otóż to przeoczenie fizyczne jest jote w jote podobne do roztrągnięcia psychicznego, które sprawia, iż umysł nie ogarnia spostrzeżeń zbyt namacalnie i bezładnie oczywistych. Wszelako jest to przejaw, który — jak się zdaje — znajduje się powyżej czy poniżej umysłowości prefekta. Nie wydawało mu się nigdy rzeczą prawdopodobną lub bodaj możliwą, żeby minister mógł umieścić ów list wprost na oczach całego świata i w ten sposób najniezawodniej uczynić go niewidzialnym dla pewnych jednostek, zaliczających się do tegoż świata.

W miarę jednak jak zastanawiałem się nad śmiałą, rzutką i przezorną umysłowością ministra D., nad tym, iż dokument ów musiał mieć zawsze pod ręką, o ile chciał go użyć we właściwej chwili; wreszcie nad niewzruszoną pewnością, z jaką prefekt utrzymywał, iż nie jest on dostępny dla zwykłych jego poszukiwań — tym silniejszego nabierałem przeświadczenia, iż minister, chcąc ukryć ów list, wpadł na przenikliwy i roztropny pomysł, by nie ukrywać go wcale.

<sup>17</sup>*vis inertiae* (łac.) — siła bezwładności. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*momentum* (łac. fiz.) — pęd; w fizyce klasycznej: iloczyn masy i prędkości ciała. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*krzepszy* (daw.) — bardziej krzepki, silniejszy. [przypis edytorski]

Mając głowę nabitą tymi refleksjami, zaopatrzyłem się w zielone okulary i pewnego pięknego poranka zaszedłem niby to przypadkiem do pałacu ministerialnego. D. był w domu, jak zwykle ziewający, rozleniwiony i rozpróżniaczony. Udawał, że po prostu zatracą się w bezmiarze nudy. Tymczasem jest to może najenergiczniejszy człowiek, jaki obecnie żyje na świecie — ale tylko wówczas, gdy nikt go nie widzi.

Żeby mu dorównać, jałem uskarżać się na słaby wzrok i ubolewać, że muszę używać okularów. Zajęty pozornie rozmową z mym gospodarzem, rozglądałem się spoza nich bacznie i skrzętnie po całym mieszkaniu.

Szczególniejszą uwagę zwróciłem na duże biurko, przy którym siedział, zawałone bezładnie wszelkiego rodzaju listami oraz innymi papierami. Spomiędzy nich wyzierało kilka książek tudzież jeden czy dwa instrumenty muzyczne. Mimo długich i nader uważnych badań nie dostrzegłem tam jednak niczego, co by mogło wydawać się podejrzane.

W końcu wzrok mój, błądząc po całym pokoju, zatrzymał się na niepozornym *porte-cartes*<sup>20</sup>, ozdobionym świecidełkami i zawieszonym za pomocą przybrudzonej, niebieskiej wstążki na gwoźdźniku mosiężnym, który sterczał nad gzymsem kominka. Ów *porte-cartes* miał trzy czy cztery przegródki, zawierające pięć lub sześć biletów wizytowych i jeden jedyny list. Był on mocno zabrudzony i pomiętoszony. Przedarto go przez środek niemal na dwoje i wyglądał, jak gdyby w pierwszej chwili chciano go podrzeć zupełnie niby rzecz bezwartościową, lecz później zamiar ten zmieniono lub niezupełnie go wykonano. Miał wielką, czarną pieczęć, na której zaznaczał się bardzo wyraźnie monogram ministra, i był zaadresowany do tegoż drobnym, kobiecym pismem. Wtłoczono go niedbale i nawet — jak się zdawało — nieco pogardliwie w jedną z górnych przedziałek.

Rzuciwszy okiem na ten list, wywnioskowałem natychmiast, że jest to przedmiot moich poszukiwań. Nie da się zaprzeczyć, iż z wyglądu różnił się najzupełniej od dokumentu opisanego nam tak drobniawo przez prefekta. Ten miał pieczęć wielką i czarną, z monogramem D., tamten zaś małą i czerwoną z książęcymi herbami rodziny S. Na tym adres do ministra był nakreślony drobnym pismem kobiecym; tamten zaadresowany był do pewnej osoby z domu królewskiego ręką śmiałą i stanowczą. Podobne były do siebie jedynie z rozmiaru. Atoli krańcowa sprzeczność tych różnic: przedarcie, niechlujny i pomiętoszony wygląd tego papieru, niedający się pogodzić z istic pedantycznymi nawykami ministra D. i jakby zmierzający do wprowadzenia widza w błędne mniemanie o błahości tego dokumentu — wszystko to wraz z natrętnym po prostu jego umieszczeniem, rzucającym się w oczy każdego przybysza i przez to najzupełniej zgodnym z poprzednimi moimi wnioskami — wszystko to, powtarzam, mogło wielce utwierdzić w podejrzeniach człowieka, który przyszedł już pełen podejrzliwości.

Przewlekłem mą wizytę możliwie najdłużej i podtrzymując nader ożywioną rozmowę o przedmiocie, który — jak już wiedziałem — ministra bardzo obchodzi, skupiałem wyteżoną uwagę na owym liście. Przy tym oglądaniu zakarbowałem sobie w pamięci jego zewnętrzny wygląd oraz przegródkę, w której go umieszczono; w końcu zaś zdążyłem dokonać spostrzeżenia, które rozproszyło do ostatka moje, nikłe już zresztą wątpliwości. Przypatrując się mianowicie brzegom papieru zauważyłem, iż są więcej poprzecierane, niż to widuje się zazwyczaj. Wyglądały jak przełamane, co dzieje się tylko wówczas, kiedy sztywny papier złoży się i przygniecie mocno jakimś narzędziem, po czym znów się rozłoży i pozagina na wywrót, ale w ten sposób, aby nowe zgięcia czy brzegi odpowiadały dokładnie załamaniom poprzednim. Odkrycie to zadowoliło mnie zupełnie. Widocznie list wywrócono jak rękawiczkę, złożono na nowo i zaopatrzone pieczęcią. Pożegnałem ministra i odszedłem spieszenie, pozostawiając na stole złotą tabakierkę.

Nazajutrz zaszedłem po tabakierkę i znów wdaliśmy się w zajmującą rozmowę z dnia poprzedniego. Byliśmy już w niej pogrążeni, kiedy rozległ się donośny huk, jak gdyby wystrzał pistoletowy, tuż pod oknami pałacu, a hukowi temu zawtórowały wrzaski i okrzyki przerażonego tłumu.

D. podbiegł do okna, otworzył je i wyjrzał na ulicę. Równocześnie przystąpiłem do *porte-cartes*, wyjąłem z przegródki list, schowałem go do kieszeni, a na jego miejscu włożyłem podobny (przynajmniej co do wyglądu zewnętrznego), który zawczasu przygo-

<sup>20</sup>*porte-cartes* (fr.) — etui na karty wizytowe. [przypis edytorski]

towałem w domu, naśladowując nader udatnie pieczęć z monogramem D. takąż pieczęcią z chleba.

Zajście na ulicy wywołał swym niepoczytalnym zachowaniem się jakiś człowiek uzbrojony w muszkiet. Wystrzelił z niego w ciżbę dzieci i kobiet. Jednak okazało się, że strzał był ślepy, więc puszczone wolno tego draba, uważając go za pijaka lub wariata. Kiedy poszedł, D. oddalił się od okna, dokąd podążyłem za nim, zapewniwszy sobie posiadanie listu. Wnet potem pożegnałem się z nim. Rzekomy wariat był przekupiony przeze mnie.

— Lecz w jakim celu — spytałem — zastąpiłeś ów list podobizną? Czyż nie można było już za pierwszym razem zabrać go bez ogródek i pójść sobie?

— D. — odparł Dupin — jest człowiekiem porywczym i zdolnym do wszystkiego. Przy tym w pałacu ma służbę nader sobie oddaną. Gdybym był postąpił, jak powiadasz, mógłbym być swe odwiedziny u ministra przepłacić życiem. Poczciwy ludek paryski nie usłyszałby już o mnie. Ale poza tymi względami miałem na oku jeszcze coś innego. Znasz moje sympatie polityczne. W sprawie tej działałem jako zwolennik kobiety poszkodowanej. Przez osiemnaście miesięcy minister miał nad nią przewagę. Teraz ona ma ją nad nim, ponieważ nie wiedząc, że listu już nie posiada, będzie dopuszczał się dalej swych nadużyć, jak gdyby go posiadał. To musi przyprawić go niezwłocznie o zgubę polityczną. Przy tym upadek jego będzie nie tylko nagły, ale także niezdarne. Łatwo to mówić o *facilis descensus Averni*<sup>21</sup>, atoli przy wszelkiego rodzaju wspinaniach można by powiedzieć to, co Catalani<sup>22</sup> mówiła o sztuce śpiewania, mianowicie, iż łatwiej jest wznieść się niż zejść na dół. W obecnym wypadku nie mam wcale sympatii — ba, nawet współczucia dla tego, który stacza się na dół. To *monstrum horrendum*<sup>23</sup> — człowiek genialny, ale wyzuty ze wszelkich zasad. Wyznaję jednakże, iż bardzo rad bym wiedzieć, co też sobie pomyśli, gdy wyzwany do walki przez kobietę, którą prefekt nazywa „pewną osobą”, będzie musiał poprzestać na otworzeniu listu, który mu pozostawiłem w przegródce *porte-cartes*.

— Co? Czy list ten zawiera coś osobliwszego?

— No, nie wydawało się mi rzeczą właściwą, by nic nie zawierał w swym wnętrzu; wyglądałoby to na obelgę. D. wypłatał mi w Wiedniu złośliwego psikus, powiedziałem mu wówczas z całą pogodą ducha, że tego mu nie zapomnę. A ponieważ wiem, że będzie nieco ciekaw dowiedzieć się, kto go tak wyprowadził w pole, więc pomyślałem sobie, iż byłoby to rzeczą żalną, gdybym mu nie udzielił pewnych wskazówek. Zna on dobrze charakter mego pisma, więc pośrodku białej karty wypisałem słowa:

...*Un dessein si funeste,*  
*S'il n'est digne d'Atrée, est digne de Thyeste*<sup>24</sup>

Możesz je znaleźć w *Atreuszu Crébillona*<sup>25</sup>.

<sup>21</sup>*facilis descensus Averno* (łac.) — łatwe jest zejście do (jeziora) Awernu, tj. do podziemnego świata zmarłych (Wergiliusz *Eneida* VI 126). [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*Catalani, Angelina* (1780–1849) – włoska śpiewaczka operowa. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>*monstrum horrendum* (łac.) — okropny potwór. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*Un dessein si funeste, S'il n'est digne d'Atrée, est digne de Thyeste* (fr.) — Zamysł tak zgubny, o ile nie jest godny Atreusza, godny jest Thyestesa (Prosper Jolyot de Crébillon, *Atrée et Thyeste*, akt V, scena 5; słowa Atreusza). [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*Crébillon, Prosper Jolyot de* (1674–1762) — francuski dramaturg, autor przesycionych grozą tragedii klasycystycznych; jego dramat *Atrée et Thyeste* (1707) opowiada o nienawiści i krwawej zemście między dwoma braćmi, zapoczątkowanej uprowadzeniem żony Atreusza przez Thyestesa. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/poe-zloty-zuk-skradziony-list/>

Tekst opracowany na podstawie: Edgar Allan Poe, Złoty żuk, "Książka i Wiedza", Warszawa 1950.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury. Reprodukacja cyfrowa pochodzi z zasobów Biblioteki Uniwersyteckiej w Toruniu.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6713-0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.